

DAWNO NIC NIE SPRAWIŁO MI TAKIEJ SATYSFAKCJI.
FRANKIE ELKIN JEST NIESAMOWITA!

Karin Slaughter

LISA

SERIA
FRANKIE
ELKIN

GARDNER

WSZĘDZIE

CIE WIDZĘ

Czy zaginiona siostra seryjnej morderczyni
rzeczywiście chce zostać odnaleziona?

ALBATROS

AMERYKAŃSKA MISTRZYNI THRILLERA KRYMINALNEGO

Tytuł oryginału:
STILL SEE YOU EVERYWHERE

Copyright © by Lisa Gardner, Inc. 2024
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2024

Redakcja: Piotr Królak

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Zdjęcia na okładce: freeman_studio/Freeplik, luis_molinero/Freeplik,
senivpetro/Freeplik (*elementy postaci*); MR. AEKALAK CHIAMCHAROEN/Shutterstock,
EAKARAT BUANOI/Shutterstock, addkm/Shutterstock,
RUNGSAN NANTAPHUM/Shutterstock, oradige59/Shutterstock (*elementy roślinne*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ALBATROS

Prolog

NADAL WSZĘDZIE CIĘ WIDZĘ.

Przemierzam szare korytarze naszego dawnego domu, zaglądam do pokoi zamieszkanymi przez duchy. Mijam gipsową ściankę, na której wciąż widać wgniecenie po pięści taty. Obskurną łazienkę, w której nalewał wody do wanny z tym szczególnym spojrzeniem, każącym mi uciekać, choć nigdy nie byłam dość szybka. Hol, gdzie rozbił lustro mamy w cennej ramie z drewna koa. Jadalnię, gdzie kładł mnie na krześle i wyciągał skórzany pas.

A tu nasz mały pokój, gdzie ty i ja spałyśmy na łóżkach stojących tak blisko siebie, że twoje wyciągnięte palce mogły muskać moje. Pamiętam twoje wielkie brązowe oczy, wpatrujące się we mnie z powagą w ciemności. A potem twój coraz bardziej regularny oddech, kiedy zasypiałaś i opadała ci ręka.

Tyle nocy patrzyłam, jak zasypiasz, jak twoje ciało, tak niewiarygodnie małe, zastyga w bezruchu pod kołdrą. Czułam, jak ściska mnie w gardle i dławi w piersiach. Mamrotałam najróżniejsze bzdury: że ze mną będziesz bezpieczna, że nigdy nie pozwolę mu cię skrzywdzić, że zawsze będę się tobą opiekować.

Miłość do ciebie sprawiała, że bolały mnie kości, huczało w głowie, mrowiło w kończynach i straszliwe, olbrzymie poczucie cudu istnienia wypełniało całe moje ciało.

Nikt nigdy tego nie zrozumiał. Osądzają mnie. Nazywają wcielonym złem. Wszyscy wstrzymują oddech przy szczegółowym opisie moich zbrodni, udają zgrozę, gdy podawana jest liczba ofiar, i w końcu cieszą się z werdyktu: śmierć dla Pięknej Rzeźniczki.

A ja nadal wszędzie cię widzę.

Teraz skręcam w korytarz, goniąc za twoim cieniem. Wołam cię po imieniu, błagam, byś do mnie wróciła. Słyszając tupot twoich małych stóp, wbiegam do naszego pokoju, padam na twoje łóżko i ściskam w pięściach rogi kołdry, szukając jakiegokolwiek śladu, jakiegokolwiek zapachu, który potwierdziłby, że wciąż tu jesteś. Że mnie całkiem nie opuściłaś.

Że całkiem cię nie zawiodłam.

Mamy już nie ma. Nie uroniłam łzy, stojąc nad jej grobem. Nie zostało we mnie ani jednej. Wiesz o tym? Jesteś z nią? Czy przytulacie się do siebie w jakiejś niebiańskiej kuchni, gdzie ona zaplata ci warkocze i szepcze wszystkie sekrety, których nigdy mi nie wyznała? Czy odnalazłaś spokój?

Bo ja budzę się codziennie rano, kipiąc z bólu i furii. Czasami do wgnieceń taty dodaję na ścianach ślady własnych pięści. Innym razem ściskam twoje stare piżamy i bezwstydnie błagam cię o wybaczenie. Płaczę i jęczę. A potem kołyszę się w przód i w tył i jęczę jeszcze głośniejsze. Nie jestem zdrowa. Nie jestem normalna.

Żyję z dziurą w piersiach i nienawiścią w sercu, a kiedy zapada noc...

Nie można się dziwić temu, co zwykle robię w nocy.

ZARAZ PO ŚMIERCI TATY stanęłam w tej samej strasznej łazience i napełniałam wiadro po wiadrze gorącą wodą i detergentem. Wyszorowałam cały dom. W każdym pokoju wycierałam mopem podłogi, czyściłam blaty i ściany. Krzesła z jadalni? Wywaliłam je na podwórko i spaliłam w ognisku, na

którego widok uciekły kury i rozbeczały się kozy. Ulubiony fotel taty, w którym przesiadywał każdego wieczoru, otwierał kolejne piwa i bekając, wygłaszał różne opinie? Rozłupałam go siekierą – nic nie pali się tak dobrze jak tanie meble. I znów obserwowały mnie wystraszone kury i nadąsane kozy.

Ale szorowanie nie wystarczyło. Przeszłam więc przez wszystkie pokoje, ściągnęłam z karniszy ciężkie zasłony i cisnęłam je w kąt. Niech do środka wpadnie światło. Niech wypali wszystkie pierdolone straszne wspomnienia w tym pierdolonym strasznym domu, w tym pierdolonym strasznym miasteczku, do którego przysięgałam nigdy nie wracać.

Później zmieniłam zdanie. Zawiesiłam z powrotem stęchłe zasłony i zamontowałam zaciemniające rolety. Pokochałam mrok i tajemnice, które pomagał mi skrywać.

Weszłam w codzienny kierat. Zaparzyć kawę, zjeść śniadanie, zebrać jajka. Nakarmić świnię, wydoić kozy, wybrać gnój z boksów. Zasadzić, wypielić, zebrać plony. Ugotować, sprzątnąć i znów ugotować, sprzątnąć. Zapłacić jeden rachunek i część drugiego. Kupić jeszcze więcej świń i kurczaków. Tyrać i tyrać bez opamiętania.

Od rana do wieczora.

Aż zajdzie słońce i pojawisz się ty, zerkając na mnie z końca korytarza. I bez względu na to, ile razy za tobą biegnę, ile razy próbuję złapać cię za rękę i uścisnąć...

Zawsze znikaasz. Rozpływasz się w powietrzu. A miłość, którą do ciebie czuję, to straszliwe, olbrzymie poczucie cudu istnienia, wstrząsa mną do głębi i wciąż we mnie tkwi. Na tym polega tak naprawdę pustka samotności. Nie na tym, że nikt mnie nie kocha, ale że nie ma nikogo, kogo ja mogłabym pokochać. Że nie ma ciemnych oczu wpatrujących się we mnie z powagą w nocy. Nie ma małych paluszków ocierających się o moje. Nie ma stłumionego oddechu, który słyszę tuż obok.

Więc wiedziona samotnością, napędzana nienawiścią, czując, jak walczą we mnie światło i mrok, w piątkowe wieczory

wypuszczam się na miasto. Siadam w barze. Jakiś mężczyzna proponuje mi drinka. Przystojny, brzydki, miły, wredny, singiel albo żonaty. Bez znaczenia. Dotykam jego ramienia, uśmiecham się i kiwam głową, kiedy mówi. Pozwalam mu wierzyć, że to był jego pomysł, że do mnie pojedziemy. Udując nieśmiałą, prowadzę go do sypialni rodziców i powoli zrzucam z siebie ciuchy.

I przez godzinę nie jestem już sama. Czuję dotyk palców, słyszę oddech tuż obok.

Ale oczywiście to nie jest to, czego pragnę, i potem płaczę, z wrażeniem, że w moich piersiach znów otwiera się dziura. Są w niej wszyscy, którzy odeszli. Wszyscy, którzy nie zostali. Jałowość mojego domu, mojego serca, mojej duszy.

Błagam kochanka, by mnie nie opuszczał, by został. Wróć do mnie, wróć do mnie, proszę, kiedy łapie ubranie i wymyka się ku drzwiom.

Wtedy to staje się łatwe. Żaden mężczyzna tak naprawdę nie boi się kobiety.

Nawet takiej, która jest córką swojego ojca.

Kiedy jest już po wszystkim, zaciągam ich ciała do szopy. Tato pokazał mi tam, jak zabić kurę. Zbyttno się to nie różni. A świnie z pewnością lubią urozmaicenie diety.

Z czasem nabieram doświadczenia. Wyprawiam się dalej, dzięki czemu nie ściągają na siebie większej uwagi. Uczę się rozpoznawać facetów, którzy są tam tylko przejazdem, co w jeszcze większym stopniu zapewnia mi bezkarność. Dowiaduję się także wielu rzeczy o moich świninach. O tym, że potrafią przeżuć prawie całe ludzkie ciało, ale nie tkną zębów ani włosów. Lubią, jak długie kości są już złamane. To samo dotyczy czaszek.

Wkrótce ludzie przyjeżdżają z daleka, żeby kupić ode mnie wieprzowinę. Najlepsze w okolicy żeberka i bekon.

Twoje oczy w ciemności. Opuszki palców muskające moją dłoń. Stłumiony oddech. Gonię cię korytarzem. Błagam, żebyś

wróciła. Dławi mnie bezsens mojej żalostnej miłości do kogoś, kogo zawiodłam. Czy jesteś teraz z mamą? Czy jest przy tobie, zaplata ci warkoczyki? Czy zaznałeś spokoju?

Wstaję codziennie rano, haruję, płacę rachunki. A potem, w piątkowy wieczór, hej, przystojniaku, oczywiście, możesz mi postawić drinka. Chcesz pojechać do mnie? Mogę poprowadzić za ciebie.

W sobotę rano myję noże, spłukuję blaty ze stali nierdzewnej i palę ubrania mężczyzn, którzy nie powinni byli udawać, że im zależy. Kończy się kolejny tydzień, zaczyna następny.

Nadal wszędzie cię widzę.

KIEDY W KOŃCU PO mnie przyjeżdżają, nie protestuję. Widzę długi sznur radiowozów, które wzbijają kurz z polnej drogi. Wychodzę na werandę i bez słowa wyciągam ręce, żeby mnie skuli. Tato zawsze powtarzał, że nic ze mnie nie będzie. Okazuje się, że coś jednak osiągnęłam.

Później dowiaduję się, że amatorzy moich żeberek rzygali, kiedy wydało się, czym karmiłam świnię. W mediach pokazali rzędy słoiczków po daniach dla niemowląt, w których były komplety uzębienia. Ułatwiło to identyfikację ofiar, ale nie miało dla mnie większego znaczenia. Od razu przyznałam się do winy. Nie złożyłam apelacji. Jestem katem. Nie doczekacie się ode mnie przeprosin.

Ostatecznie przypisują mi osiemnaście zabójstw.

Pomylili się o jedno, ale to sprawa między mną i tatą. Nie protestuję, kiedy zacytowany stan Teksas skazuje mnie na śmierć i dołączam do sześciu innych kobiet czekających w celach na stracenie. Trafiam z własnym specjalnym numerem do zakładu karnego Mountain View. Kiedy o tym pomyśleć, wydaje się to nawet imponujące.

Mnie to oczywiście nie imponuje.

Pokochałam cię od pierwszej chwili.

Będę opłakiwała do ostatniej.

Przyjdą po mnie za kilka tygodni. Przewiozą do Walls, gdzie ludzie, których nie znam, będą protestować przeciwko mojej egzekucji. Jedni z powodu mojej płci. Inni z powodu mojej rasy. Kolejni – dla zasady. To nie ma znaczenia.

Wiem, co się wydarzy potem. Krótki pobyt w monitorowanej celi śmierci, a potem przejazd do komory egzekucyjnej na wózek, do którego już wcześniej mnie przywiążą, całopalną ofiarę.

Nie boję się. Znowu jestem w tej obskurnej łazience i znowu nalewam wody do wiadra, żeby uprzątnąć bałagan, którego narobiłam. Biegnę przez podwórko, słyszę za sobą twój chichot. Łapię za rękę tatę, zanim cię uderzy. Kipię ze złości, kiedy mama po raz kolejny odwraca wzrok.

Leżę pod kołdrą w sypialni, czując, jak dotykasz moich palców swoimi.

Mogą mnie przywiązać i wstrzyknąć w żyły truciznę. Świadkowie mogą patrzeć, jak dygoczą mi kończyny, i wstrzymać oddech z przerażenia albo mogą się cieszyć i świętować.

Będę miała oczy otwarte do końca. Będę wpatrywać się przed siebie.

I wszędzie będę cię widzieć.

Rozdział 1

W MOJEJ PRACY PATRZYŁAM, jak ludzie umierają, ale nigdy jeszcze nie widziałam egzekucji. Kiedy spoglądałam na ceglana bramę więzienia Mountain View w Gatesville w Teksasie, od razu stwierdzam, że nie chcę tego zmieniać.

Zakład karny Mountain View słynie z tego, że trzymają w nim skazane na śmierć kobiety. Nie wykonuje się tam jednak egzekucji. W dniu swojej randki ze śmiercią osadzona musi zostać przetransportowana do więzienia Huntsville, które jest jeszcze słynniejsze, ponieważ znajduje się tam najczęściej używana komora egzekucyjna w Stanach Zjednoczonych.

Wszystko to jest bardzo niepokojące dla kobiety, która spędziła noc w autobusie linii Greyhound. Wyglądam fatalnie i fatalnie pachnę, lecz staram się to ignorować, bo i tak jestem już wystarczająco podenerwowana i wytrącona z równowagi.

W mojej pracy – która tak naprawdę nie jest pracą, skoro nie mam odpowiedniego wykształcenia i nikt mi za nią nie płaci – zwykle sama wybieram sobie sprawy do rozwiązania. Nie zawsze potrafię wyjaśnić, dlaczego zajmuję się akurat tą zaginioną osobą, a nie inną. Biorąc pod uwagę, że w każdym momencie mamy do czynienia z setkami tysięcy zaginionych i jeszcze większą liczbą zrozpaczonych bliskich, którzy desperacko szukają odpowiedzi, zawsze mam przed sobą tragicznie długą listę. Skłaniam się na ogół ku mniejszościom zagrożonym

wykluczeniem, ludziom, którzy zostali w życiu przeoczeni i którymi mało kto się interesował po tym, jak zaginęli.

To zupełnie nie wyjaśnia, dlaczego znalazłam się tu teraz, z podkrążonymi oczami i włosami w strączkach, odpowiadając na pilne wezwanie pewnej adwokatki, obdarzonej, jak widać, zdolnościami detektywistycznymi, bo nie jestem kimś, kogo łatwo wytropić. Nie mam żadnego adresu mailowego, żadnych nieruchomości i wystawionych na moje nazwisko rachunków za media, nie mam nawet prawdziwego telefonu. Korzystam od czasu do czasu z kafejki internetowej, żeby zajrzeć do portalu poświęconego zaginionym osobom. I tam właśnie dostałam wiadomość. Krótką. Desperacką. Tajemniczą.

Tajemnice zawsze mnie intrygują.

Zostawiłam cały swój ziemski dobytek – jedną walizkę na kółkach – w schowku na dworcu autobusowym w Waco. Ponieważ godziny odwiedzin w zakładach karnych często się zmieniają, po przyjeździe zadzwoniłam do adwokatki, żeby potwierdzić nasze spotkanie. Victoria Twanow wydawała się prawie tak samo spięta i podenerwowana jak ja, co raczej mnie nie uspokoiło. Upредиła mnie, że do więzienia wolno wnieść przezroczystą torbę z monetami, których wartość nie przekracza dwudziestu dolarów, do wykorzystania w automatach do sprzedaży. Dlaczego akurat dwadzieścia dolarów? Czy można wydać dwadzieścia dolców na batoniki? Zważywszy, jak bardzo burczało mi w brzuchu, wydawało się to możliwe, ale potem zaczęłam się zastanawiać, czy pieniądze będą dla mnie, czy dla osoby, którą odwiedzę w celi śmierci.

Przetworzenie tego wszystkiego przekraczało możliwości mojego niewyspanego mózgu. Dlatego czekając na kolejny autobus, który miał mnie zawieźć z Waco do Gatesville, odpuściłam sobie przezroczyste torebki z bilonem i kupiłam snickersa i butelkę wody.

I oto jestem. Czterdziestokilkuletnia kobieta w zno-szonych dżinsach, zakurzonych adidasach i postrzępionej

oliwkowozielonej kurtce wojskowej.

Nazywam się Frankie Elkin i zajmuję się odnajdywaniem zaginionych osób. Kiedy policja daje za wygraną, kiedy ludzie zaczynają zapominać, kiedy media przestają się przejmować, rozpoczynam poszukiwania. Nie dla pieniędzy, nie dla sławy i w większości przypadków bez niczyjej pomocy.

Ale nadal nie mam pojęcia, czego może chcieć ode mnie skazana na śmierć zabójczyni.

ADWOKATKA, VICTORIA TWANOW, czeka już na mnie przy głównym wejściu. Prowadzi mnie przez różne bramki i w końcu, mrużąc oczy w żółtawym świetle jarzeniówek, ląduję po drugiej stronie.

– Załatwiłam nam osobny pokój widzeń – oznajmia bez zbędnych wstępów i rusza dalej.

Victoria Twanow jest konkretna aż do bólu. Przekonałam się o tym, czytając jej wiadomości. To kobieta z misją i klientką, która za parę tygodni ma dostać śmiertelny zastrzyk. Tak czy owak, jest młodsza, niż się spodziewałam. Trzydzieści parę lat, długie ciemne włosy związane w kucyk, jasnoszara spódniczka i marynarka, a pod nią biała bluzka z kołnierzykiem. Jedynym ustępstwem na rzecz mody może być masywny srebrny naszyjnik z egzotycznymi symbolami odwołującymi się chyba do kultury Majów. Czy nawiązuje w ten sposób do swojego pochodzenia z Belize (sprawdziłam ją wcześniej w Google'u, podobnie jak ona mnie), czy naszyjnik po prostu jej się spodobał? Nie mam czasu o to zapytać, bo Twanow sadi długimi krokami korytarzem, zmierzając prosto w stronę ponurego strażnika.

Kiedy do niego podchodzi, jego twarz natychmiast się rozjaśnia.

– Dzień dobry, Victorio – mówi, pozdrawiając ją ciepłym skinieniem głowy.

Adwokatka posyła mu szeroki uśmiech. Zdaje sobie sprawę, że są ze sobą zaprzyjaźnieni. To całkiem zrozumiałe. Twanow odwiedza pewnie to miejsce dość regularnie. Zdążyła oczywiście poznać strażników, nawiązać z nimi bliższe relacje.

To sprawia, że czuję się jeszcze bardziej nieswojo, niczym nowa uczennica w klasie. Odruchowo kulę ramiona. Nie podoba mi się to miejsce, nie podobają mi się jaskrawe jarzeniówki i drażniący nozdrza aseptyczny zapach. Dźwięki są zbyt głośne i wszystkie rozlegają się jednocześnie – brzęczą otwierane drzwi, dzwonią łańcuchy i tak wiele osób gada i gada, akcentując swoje wypowiedzi rytmicznymi gniewnymi okrzykami. Pracowałam w barach z pijanymi wrzeszczącymi klientami, których tylko jeden łyk wódki dzielił od wszczęcia burdy, ale nawet tam nie panowała tak stresująca atmosfera jak tutaj.

Twanow dotyka mojego ramienia i uśmiecha się krzepiąco.

– Wszystko jest w porządku – mówi. – Skup się na ludziach, nie na miejscu. Wierz mi, to pomaga.

Nie bardzo wiem jak, skoro za chwilę mam poznać kobietę, która po poćwiartowaniu osiemnastu mężczyzn i nakarmieniu nimi stada świń zyskała przydomek Pięknej Rzeźniczki.

Strażnik otwiera przed nami drzwi. Twanow szybko wchodzi do środka, ja podążam za nią z pewnym wahaniem.

Pomieszczenie jest małe i prawie puste. Stoją w nim trzy plastikowe krzesła i stół. Spodziewałam się bardziej klasycznego pokoju widzeń z porządną wzmocnioną szybą, która oddzielałaby mnie od skazanej morderczyni, ale to wnętrze przypomina raczej typowy pokój przesłuchań z komisariatów. Ponieważ nie zawsze siedziałam tam po tej samej stronie co stróż prawa, przechodzi mnie lekki dreszcz.

– To pokój do rozmów z adwokatem – wyjaśnia Twanow, stawiając na podłodze teczkę. – Gdyby ktoś pytał, należysz teraz do zespołu prawników, którzy bronią Keahi.

– Kayahee? Myślałam, że ma na imię Kaylee...

– Skup się. Już wchodzi.

Drzwi po prawej stronie otwierają się i wchodzi przez nie kobieta w kajdankach przymocowanych łańcuszkiem do pasa. Oglądałam wcześniej jej zdjęcie i sądziłam, że będę przygotowana na to, co zobaczę, ale tak nie jest. Nawet w bezkształtnych więziennych łańkach Kaylee Pierson jest olśniewająca. Gęste czarne włosy. Wydatne kości policzkowe. Ciemne skośne oczy i jasnobrązowa cera, które świadczą o jej hawajskich korzeniach. Poruszając się z kocią gracją, nie stara się nawet ukryć swojej gibkości i siły. Potrafię sobie wyobrazić, jak sprowadzała do domu kolejnych poznanych w barze mężczyzn. I potrafię sobie wyobrazić, jak kilka godzin później trzymała w muskularnych rękach piłę i ćwiartowała ich ciała. Rzeczywiście piękna z niej rzeźniczka.

Zatrzymuje się przy drzwiach, przygląda mi się od stóp do głów i rozchyła usta w uśmiechu.

W jej oczach nie ma ciepła, wyłącznie chłodne wyrachowanie. Jeśli nie byłam wystraszona wcześniej, teraz z pewnością już jestem.

– Cześć, Frankie – mówi niskim gardłowym głosem. – Witaj w moim świecie.

– MÓGLBYŚ? – KAYLEE unosi lekko dłonie i odwraca się do towarzyszącego jej strażnika, a ten odpina kajdanki. Ona puszcza do niego oko, on ostrożnie się cofa. Na podstawie jego reakcji domyślam się, że zwykli więźniowie nie są w ten sposób skuwani na terenie zakładu karnego. To każe mi się zastanawiać, co takiego przeszkobiła Kaylee Pierson, że dostała tego zaszczytu.

– Jesteśmy gotowe – mówi Twanow do strażnika, chcąc najwyraźniej przejść do rzeczy.

Facet wychodzi. Oddycham głęboko i siadam na krześle. Raz kozie śmierć.

– Naprawdę przyjechałaś tu autobusem? – pyta Kaylee. – Z chęcią zapłaciłybyśmy za lot.

– Panno Pierson...

– Mów mi Keahi. To imię, które chciała mi dać matka, ale nie zgodził się na to ojciec. Gardził jej narodowością i kulturą. *Keahi* znaczy „ogień”. Mocne imię dla dziewczynki, o której matka wiedziała już, że musi być twarda, by przetrwać. Przeszłam przez życie pod imieniem, które nadał mi ojciec. Chcę zginąć pod własnym.

– Twoja matka była Hawajką – stwierdzam rzecz oczywistą, bo nie wiem, jak mam odpowiedzieć na tak kategoryczne stwierdzenie.

– Poznała ojca, kiedy stacjonował w Honolulu. Wyszła za pięknego marynarza i pojechała z nim do Teksasu. Głupia kobieta.

– Twój ojciec was molestował.

– Mój ojciec był potworem. Choć chyba wszyscy możemy się zgodzić, że ja jestem większym.

Kaylee vel Keahi Pierson znów się uśmiecha, ale jej rozchylone wargi nie pasują do mrocznego spojrzenia. Z tego, co czytałam, nigdy nie wyraziła skruchy za swoje zbrodnie. I nie próbowała się odwoływać od kary śmierci. Apelacje składali w jej imieniu inni, wśród nich jej zdeterminowana adwokatka, Victoria Twanow. Ale Keahi nie ukrywa, że gotowa jest ponieść odpowiedzialność za to, co zrobiła. Zabijała, więc teraz sama zostanie zabita.

To wszystko znacznie przekracza moje kompetencje i możliwości.

– Czego ode mnie chcesz? – pytam takim samym obojętnym tonem, z satysfakcją odnotowując, że dopiero pod koniec zadrzał mi głos.

– Victoria mówi, że szukasz zaginionych osób. – Siedząca przy mnie Twanow kiwa głową. Ma przed sobą blok papieru i chyba robi notatki. – Osób, których nie szuka już nikt inny

– dodaje Keahi.

– Specjalizuję się w nierozwiązanych przypadkach zaginięć.

– Ale nie jesteś prywatnym detektywem?

– Nie.

– Więc może jesteś hakerką, która potrafi zlokalizować ziarno piasku na pustyni, śledząc jego ślad w internecie?

– Nie mam nawet smartfonu.

Keahi marszczy czoło.

– Więc kim tak naprawdę jesteś?

– Osobą z naprawdą obsesyjnym hobby.

Marszczy czoło jeszcze bardziej.

– Victoria twierdzi, że znalazłaś wszystkie osoby, których szukałaś. Jak ci się to udało?

– Zadaję pytania. Dużo pytań. Czasami to proste, bo po tylu latach ludzie chcą o tym opowiedzieć. A czasami, ponieważ nie jestem policjantką, członkom pewnych społeczności łatwiej jest wyjawiać prawdę. – Wzruszam ramionami. – Kiedy ktoś zaczyna mówić, uważnie go słucham. Ostatnio robi to niewiele osób.

– Ile rozwiązałaś spraw?

– Prawie dwadzieścia.

– Zaginione osoby wróciły dzięki tobie do rodzin?

– Pozwoliłam rodzinom zamknąć sprawę.

Keahi wykrzywia wargi. Rozumie dobrze, co chcę przez to powiedzieć.

– Nie bierzesz pieniędzy.

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie chodzi mi o pieniądze.

– A o co?

– A co cię to obchodzi?

Reakcją Keahi na ten wybuch złości jest uśmiech. Uświadamiam sobie pierwszą rzecz na temat mojej nowej znajomej,

która jest seryjną morderczynią. Lubi wchodzić w zwarcie, czuje się dobrze, kiedy ktoś się na nią wścieka. Za to życzliwość jest dla niej pewnie cholernie wielkim zagrożeniem. A ktoś taki jak ja, kto pomaga ludziom tylko dlatego, że chce to robić, musi być dla niej przybyszem z kosmosu.

Nareszcie mamy ze sobą coś wspólnego: obie jesteśmy sobie kompletnie obce.

– Za trzy tygodnie mnie zabiją – mówi, oczekując najwyraźniej innej reakcji.

– Zawiniłaś, założyłaś – odpowiadam.

Keahi parska na to śmiechem. Za to siedząca obok mnie Twanow wyraźnie sztywnieje. Najwidoczniej przejmując się egzekucją klientki o wiele bardziej niż ona sama.

– Nadal mamy różne opcje... – zaczyna.

Keahi zbywa to machnięciem dłoni.

– Nie zależy mi na tym, żeby opóźnić to, co nieuniknione – mówi. – Nie żałuję, że zabiłam tych mężczyzn. Jeśli wypuscicie mnie jutro, znów zacznę to robić. Jestem bestią. Bestie trzeba likwidować.

Twanow gwałtownie mruga, wpatrując się w swoje notatki. Jest młoda, myślę, idealistycznie nastawiona. Może związana blisko z klientką, którą reprezentuje od kilku lat, a może po prostu nie akceptuje kary śmierci. Ale jest coś, na co nikt nie zwrócił uwagi: szlachetna pani mecenas i jej bezwzględna, skazana za seryjne zabójstwa klientka są rówieśniczkami. Keahi jest właściwie trochę młodsza; ma zostać stracona w kwiecie wieku – skończyła raptem trzydzieści dwa lata. Jej uroda ma jednak w sobie coś złowieszczego: pełne usta, które nigdy nie rozchyliły się w radosnym uśmiechu, ciemne przepastne oczy skrywające zabójcze zamiary.

– Dlaczego? – pytam. Nie mogę się powstrzymać. Naprawdę mnie to ciekawi. – Dlaczego zabiłaś tych wszystkich facetów?

– Okłamali mnie. Prosiłam, żeby ze mną zostali, a oni

dawali nogę. I wtedy...

– Podrywałaś obcych facetów w barach i spodziewałaś się, że z tobą zostaną?

– Zła strategia?

– Bujda na resorach. Wiedziałaś, że cię zostawią. To pretekst, żeby potraktować ich tak, jak ich potraktowałaś, a nie prawdziwy motyw. Żeby zarżnąć osiemnastu facetów, potrzebowałaś znacznie bardziej osobistego powodu.

Keahi zastyga w bezruchu. Przechyla głowę w bok i znów mi się przygląda. I przez krótką chwilę jej piękna twarz traci swój blask. Oczy nadal są przepastne, lecz nie lśni w nich lód. Maską spada jej z twarzy, a pod nią...

Muszę odwrócić wzrok. Jej ból nie jest emocją, ale pierwotnym krzykiem. Przeszywa na wskroś, nie sposób go znieść. Widziałam w życiu wiele rodzajów udręki, ale żadna nie była tak straszna jak ta.

– Jestem pusta – mówi cicho Keahi. – Kiedy stoję za nimi z nożem w ręce i wiem, że ich życie należy teraz do mnie, ta pustka staje się mniejsza. Tętno na szyi mężczyzny, które wyczuwam opuszkami palców. Jego gorąca, gęsta krew, która spływa po moich ramionach. Ostatni charkot, jaki wydaje, osuwając mi się do stóp... Potrzebuję tego. Bez tego nie miałabym nic.

Długopis Twanow przebija leżącą przed nią kartkę.

Postanawiam już nigdy nie pytać seryjnego zabójcy o jego motyw.

– Straciłaś kogoś – rzucam. Usłyszałam dosyć, by się tego domyslić. – Chcesz, żebyś odnalazła tę osobę.

– Moją młodszą siostrę. Musisz ją zlokalizować. Muszę wiedzieć, że jest bezpieczna i zdrowa. To moje przedśmiertne życzenie. Masz trzy tygodnie, żeby tego dokonać – mówi Keahi i posyła mi triumfalny, arogancki uśmiech.

Moja odpowiedź jest oczywista.

– Nie zrobię tego – stwierdzam i odchylam się na oparcie krzesła z takim samym triumfalnym i aroganckim uśmiechem.

Rozdział 2

– ODMAWIASZ KOBIECIE, KTÓRA stoi jedną nogą w grobie?
– Keahi pochyła się do przodu i zaciska gniewnie usta. Zastanawiam się, jak szybko mogą zareagować strażnicy. – Jak śmiesz...

– Przestań! – Twanow wali pięścią w stół, zadziwiając nas obie. Keahi i ja mrugamy zaskoczone. Zdążyłyśmy wykluczyć Panią Idealistkę z rozmowy. Jak się okazuje, niesłusznie. – Przyjechałaś tutaj – mówi do mnie. – Odpowiedziałaś na mój list i spędziłaś prawie dwanaście godzin w autobusie Greyhounda. To świadczy, że jesteś zainteresowana.

– To świadczy, że jestem zadowolona. Czy zainteresowana, to się jeszcze okaże.

Teraz pora na skarcenie Keahi. Twanow mierzy swoją klientkę takim samym spojrzeniem, jakim mierzyła przed chwilą mnie.

– Zostaniesz stracona za zbrodnie, które popełniłaś. Nie masz prawa stawiać komukolwiek żądań.

– Widzę, że zrobiłaś się zadziorna...

– Opuść sobie. Po prostu opuść. Przestań odgrywać męczące role i bez końca manipulować ludźmi. Trzy tygodnie, Keahi. Tyle ci zostało. Naprawdę chcesz odnaleźć siostrę i zamknąć tę sprawę? W takim razie skończ ten teatr i przejdź do rzeczy.

Wycofuję się ze wszystkiego, co wcześniej myślałam. Wystrzałowia Victoria Twanow niesamowicie mi imponuje.

Ponieważ nie skłamałam, mówiąc, że jestem zaciekawiona, łatwo mi kontynuować rozmowę.

– Opowiedz mi o swojej siostrze – mówię. – Jak ma na imię?

– Mówiliśmy na nią Lea, ale sekretne hawajskie imię, które nadała jej matka, brzmiało Leilani, „niebiańskie dziecko”. Jej narodziny były cudem, urodziła się czternaście lat po mnie. Matka była wcześniej kilka razy w ciąży, ale żadnej nie donosiła... – Keahi wzrusza ramionami. – Lea od samego początku była inna. Radosna. Słodka. Żywa jak iskra. Ciągłe się śmiała. Całowała cię i tuliła, bo tak jej się podobało. Uśmiechała się od ucha do ucha za każdym razem, kiedy mnie widziała, nawet jeśli od naszej poprzedniej rozmowy upłynęło kilka minut. Matka pokochała ją najbardziej. Całymi godzinami siedziała w kuchni, czesząc jej włosy i zaplatając w warkoczyki. Rozumiałam to. Ja też najbardziej kochałam Leę. A kuchnia była dla niej najbezpieczniejszym miejscem. Tato rzadko się tam zapuszczał. – Keahi bacznie mi się przygląda. – Ja jestem córką swojego ojca – mówi. – Lea była dzieckiem matki.

Rozumiem, o co jej chodzi.

– Co się wydarzyło? – pytam.

– Na początku łatwo było trzymać Leę z dala od taty. Niemowlę go nie obchodziło. Ale kiedy trochę urosła i zaczęła biegać po domu, oczywiście bardziej się nią zainteresował. Tato nie cierpiał czegoś, co jest słodkie i miłe. Śmiech doprowadzał go do szału. Taki już był. Wszystko, co jasne i czyste, musiało stać się mroczne i pokręcone.

– Zaczął bić i ją. Podobnie jak ciebie i twoją matkę – dopowiadam.

– Nie kiedy byłam w pobliżu. – Keahi unosi podbródek. – Gdy podnosił na nią rękę, sama mu się podstawiałam. Jeśli chciał mnie pobić do krwi, co mi zależało? Dla mnie to nie

było nic nowego. W wieku siedemnastu lat odpowiadałam na jego nienawiść własną. Im bardziej mnie okładał, tym bardziej się buntowałam. Im bardziej krwawiłam, tym żarliwiej obiecywałam sobie, że pewnego dnia utoczę krew z niego. Te bezsenne noce, kiedy snułam sadystyczne fantazje o tym, co mu zrobię...

– Zamordowałaś tych wszystkich mężczyzn, zamiast uśmiercić jego? – pytam.

Keahi znów wydyma wargi.

– Skąd wiesz, że nie zabiłam i ojca? – odpowiada.

– Keahi – ostrzega klientkę Twanow, ale nie musi mówić nic więcej.

Przykazuję sobie ponownie, żeby nigdy nie zadawać pytań, na które nie chcę znać odpowiedzi.

– Matka nie była dla niego żadną przeciwniczką – stwierdza beznamiętnym tonem Keahi. – Słaba. Nieduża. Mała cicha myszka krzątająca się przez cały dzień z opuszczoną głową i zamkniętymi na kłódkę ustami. Spełniająca wszystkie jego żądania. Czasami, gdy nie było go w domu, słyszałam, jak śpiewa cicho po hawajsku. Kiedy byłam mała, bardzo mi się to podobało. Gdy podrosłam, chciałam, żeby się przymknęła. Potem jednak pojawiła się Lea, której nie tylko się to podobało, ale też zaczęła śpiewać razem z matką. Weszłam kiedyś do kuchni i usłyszałam je. To było... takie bolesne. – Nie jest to słowo, którego oczekiwałabym w tym kontekście. – Głos nadziei w domu, gdzie nie istnieje coś takiego jak nadzieja – wyjaśnia Keahi.

Wiem z doświadczenia, że ta historia może się, niestety, potoczyć tylko w jednym kierunku.

– Rozumiem, że stało się coś strasznego.

– Nie. – Keahi kręci głową, po tylu latach nadal zaskoczona. – Stało się coś cudownego. Rano, w dniu moich osiemnastych urodzin, matka zakradła się do pokoju, który dzieliłam z Leą, i oświadczyła, że wyjeżdżamy. Bez niej; nie miała na

to dość pieniędzy. Ale kupiła dwa bilety na Hawaje, dla mnie i dla Lei. Miałśmy tam polecieć, odnaleźć naszą rodzinę i nigdy nie wracać. I ten plan się udał. Matka wlała w ojca tyle whisky i piwa, że urwał mu się film. Złapałam siostrę za rękę, pobiegłyśmy alejką do drogi, a stamtąd sąsiad zabrał nas na lotnisko. Mówiłam wszystkim, że Lea jest moją córką. I nagle znalazłyśmy się w samolocie. Byłyśmy wolne.

Głos Keahi załamuje się przy tym ostatnim słowie. Daje jej chwilę, żeby doszła do siebie. Kiedy mówi o siostrze, jej rysy łagodnieją, w oczach pojawia się tęsknota. Albo jest niewiarygodnie dobrą aktorką, albo naprawdę ją kochała. Nie mam jednak pojęcia, dlaczego miałaby okłamywać mnie w tej kwestii. Odnalezienie od dawna zaginionej siostry raczej nie zmieni wyroku w jej sprawie. Zwłaszcza że wydaje się nie tylko zrezygnowana, ale też zdecydowana umrzeć.

– Więc polecałyście obie na Hawaje. Udało wam się znaleźć rodzinę matki? – pytam.

– Byli mili. Zwłaszcza dla mnie. Mogłam wyglądać tak jak oni, ale nic nie wiedziałam o ich kulturze. Byłam bardziej *haole* niż Hawajką. Lea oczywiście od razu wszystkich i wszystko polubiła. Dostałyśmy mały pokój w domu ciotki, która miała niewielką farmę, podobną do farmy rodziców. Z tą różnicą, że nie hodowała świń – dodaje z uśmiechem Keahi, ale ja nie daję się sprowokować. – Wstawałam wcześniej rano – opowiada – i urabiałam sobie ręce po łokcie, pracując dwa razy ciężiej niż kuzynki, bo bałam się, że ciotka zmieni zdanie i odeśle nas z powrotem. Albo, co gorsza, któregoś dnia pojawi się tato i spali to miejsce do gołej ziemi. Wiedziałam już wtedy, że najpierw go zabiję. Nie wolno mu było tknąć mojej siostry. Obiecałam to Lei i przysięgałam sobie.

– Keahi. – W głosie adwokatki słychać znowu ostrzegawczy ton.

Keahi macha tylko ręką.

– I co mi zrobisz? Dadzą drugi śmiertelny zastrzyk? – pyta.

– Ale twój ojciec nigdy się tam nie pojawił – wracam do przerwane go wątku. – Ty i siostra byłyście na Hawajach bezpieczne?

– Przez całe dwa lata.

– I co się stało?

Usta Keahi zaciskają się w wąską kreskę.

– Udowodniłam, że jestem jednak córką mojej matki. Poznałam mężczyznę.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).